Nr. 42. We Lwowie dnia 15. października 1894. Rok II.



Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"
pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.



Zadania powieści polskiej.



Skreślił

Z. Miłkowski (T. T. Jeż).



(Ciąg dalszy)

Ciekawemi, a pod względem naukowym i ważnemi, bardzo ważnemi były koleje, jakie ona przechodziła; ciekawem i ważności pierwszorzędnej nie pozbawione byłoby studjum, jej specjalnie poświęcone, a wykazujące ją w ciągu wieków pod dwoma względami: pod tym, co w siebie ze społeczeństwa brała i pod tym, co z siebie społeczeństwu dawała. Praca ta narzuca się z tej bodaj przyczyny, że w czasach ostatnich powieść takie szerokie w literaturze zajęła miejsce. Potokami płynie i zalewa — zalewa rynki księgarskie, bibljoteki publiczne i prywatne, księgozbiory zasobne i skromne, czytelnie, salony, buduary, sypialnie, — przenika do warstw społeczeństwa niższych, w miarę, jak do nich sztuka czytania przenika, spotyka się na każdym kroku, w każdem miejscu, mężowie stanu nawet czytaniu powieści się oddają, słowem — powieść zalewa i rozlewa się nakształt powodzi. Fakt ten sam przez się powinienby spowodować kogoś z uczonych do rozpatrzenia się w niej pilnie a wszechstronnie i do wyznaczenia dla niej odpowiedniego środ wytworów myśli i wyobraźni miejsca.

Pokuszę się o to ostatnie, to jest: o wyznaczenie dla powieści miejsca środ utworów myśli i wyobraźni.

Zanim jednak to uskutecznię, a raczej, dla uskutecznienia tego, potrzeba, ażebym powiedział, czy też przypomniał, że powieść w ciągu wieków znacznym podlegała zmianom. Z fantastycznej, legiendzie pokrewnej, a poezją spleciołnej, stała się sentymentalną, z sentymentalnej romantyczną, wreszcie, w czasach ostatnich, realistyczną. Stosowała się ona do ducha czasu, do nastroju w społeczeństwie, do rodzaju czytelników, których sfery stopniowo modyfikowały się i rozszerzały. W przeszłym jeszcze wieku liczba czytelników była szczupłą, — zajmowanie się literaturą nadobną należało do zbytków, na które pozwalali sobie ci jeno, co nic lepszego do czynienia nie mieli. Dawniej, kiedy duch rycerski panował a palladyni po świecie krążyli i na turniejach wobec dam się popisywali, liczba ta była jeszcze szczuplejszą. Stosując się do niej, literatura nadobna opiewała miłość i waleczność, opowiadała o miłości i waleczności. Powieściopisarstwo składało się przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, z romansów rycerskich, uprawianych szczególnie w Hiszpanji. Rozczytywali się w nich, o ile czytać umieli, błędni rycerze i damy, co im barwy rozdawały. Literatura powieściowa dla tej istniała sfery, ogniskującej się na książęcych i królewskich dworach, w obrębie zamków feudalnych.

Natura dworów przeobrażała się. Błędne rycerstwo wygasło — zraniła je broń palna: miejsce jego zajęło dworactwo gładkie, woniejące, w aksamitnych frakach i jedwabnych pończochach, w perukach a przy szpadach, cienkich jak rożenki, inkrustowanych na rękojeściach i pochwach. Damy też inne zajęły stanowisko: barw nie rozdawały, lecz prowadziły intrygi romansowe, nacechowane galanterją wyszukaną i nadczułością przesadną. Z takich dworaków i z takich dam rekrutowało się czytelnictwo, dla którego tacy Honoriusz d'Urfé i panna de Scudéri pisali romanse długie, tkliwe, sielankowością podszyte i dziś, dla wiejących z nich nudów,

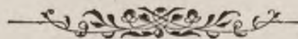
czytać się nie dające. W swoim jednak czasie czytały się; zachwycano się niemi; naśladowano je poza granicami Francji — u nas nawet. Odpowiadały one nastrojowi dziejowego w historji literatury momentu i wiernie odźwierciadlają życie, malując duch, jaki natenczas panował w sferach miarodajnych, modelujących się według wzorów króla słońca, za którego czasów literatura francuska miała swój złoty wiek. Romans należał do koncertu, odegrywanego przez inne literatury gałęzie; wtórował im, ale wtórował słabo — fałszem zarywał: tak nam się przynajmniej dziś wydaje, gdy porównujemy dzieła romansopisarzy owoczesnych z utworami takich potęg, jakiemi byli Corneille, Racine, Molière, Boileau i inni, a dalej Voltaire, Jan Jakób Rousseau.

Powieść chromała — widocznie odpowiedniego sobie stanowiska zająć nie umiała. Strącona z wyżyn fantazji rycerskiej, szukała dla siebie po omacku drogi, ocierając się o poezję i przebijając żmudnie przez dwa serca gorejące, strzałą przeszyte, jedną wspólną szarfą spojone i praktykujące »nadzwyczajną miłość nad brzegami Dniestru«.

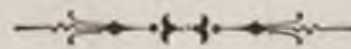
Nowa dla powieści era zaświtała w epoce, zwanej »epoką romantyczną«.

Nie wykładam historji powieści — zaznaczam tylko główniejsze zwrotowe jej momenty, pośpieszając ku temu momentowi, jakim jest dla niej obecny.

W tem miejscu do nieświadomości — jednej z wielu, do których się poczuwam, przyznać się muszę. Rozumiem różnicę pomiędzy klasycyzmem a romantyzmem. Spór, jaki się pomiędzy niemi toczył, jasno się przedstawia umysłowi memu; wiem o co chodziło Mickiewiczowi, a o co krytykom warszawskim; ale nie wiem zgoła, co ma stanowić różnicę pomiędzy wczorajszym romantyzmem a dzisiejszym realizmem. Nieraz wytężałem wzrok i uzbrajałem go w okulary, u najbieglejszych krytyków i historyków literatury zapożyczane: nigdy dopatrzeć pomiędzy niemi nie byłem w stanie wyraźnej linji demarkacyjnej. Rozumiem, że romantyzm pożegnał się z mitologją i retoryką starożytną, zwracając się do motywów widzialnych, dotykalnych, życiowych, tak spółczesnych, jakoteż czerpanych z dziejów bądź własnych, bądź obcych. Toż samo czyni realizm. To odstępstwo od formalizmu klasycznego, ten na polu powieściopisarskiem zwrot zamarkowali najwyraźniej dwaj pisarze genialni: w Anglji Walter Scott, we Francji Balzac. (D. c. n.)



Z ZACHODNICH KRESÓW.



(Dokończenie).

W szkołach średnich nie wiele lepiej się dzieje, niż w elementarnych. Główna różnica polega na tem, że dzieci rodzin zamożniejszych później trochę, tj. około 9tego lub 10go roku życia na naukę oddawane bywają, a przedtem, kształcąc się w domu, mogą choć jakiej takiej znajomości języka i historji polskiej nabyć. W gimnazjum i szkołach realnych istnieją wprawdzie lekcje języka polskiego, nie jest to jednak przedmiot obowiązujący, poświęcają mu godzin niewiele, a o nauce literatury lub historji kraju ojczystego mowy być nie może. Wreszcie nie we wszystkich gimnazjach znajdzie się profesor Polak, zdolny wykładać przedmiot. Nauczycieli naszych przenoszą częściej niż innych urzędników w interesie służby w głąb niemieckich prowincji. Ci, którzy się ekspatrjować nie chcą, biorą dymisje i tym sposobem sił nauczających polskich z rokiem każdym ubywa. Wykład wszystkich przedmiotów jest wyłącznie niemiecki. Pod względem znajomości tego języka wymagania są o wiele większe w Poznańskiem, niż w niemieckich gimnazjach tak, iż uczniowie szkół poznańskich, którym ze względu na ten język parę lat z rzędu promocję zatrzymywano, we Wrocławiu lub Berlinie składają świetne egzamina i doskonałe stopnie właśnie z tego przedmiotu otrzymują. Toż samo dzieje się i po pensjach żeńskich, będących, jak wiadomo, pod ścisłą kontrolą inspekcji szkolnej. Panna, nie władająca językiem niemieckim równie biegle, jak każda rodowita prusaczka, patentu otrzymać nie może. Jeżeli zaś w ogóle pedagogowie niemieccy zwracają uwagę na przeciążenie szkolne, będące plagą wychowania publicznego w kraju, to ileż więcej daje się ono we znaki młodzieży naszej, zmuszonej łamać się od najmłodszego wieku z trudnościami obcego zupełnie języka. Pamiętajmy, że nietylko on dzieciom nieznany, ale tak zasadniczo różny od ich własnego, tak odrębny zupełnie ma charakter, tak odmienne zasady gramatyki i składni, że jest prawie niemożliwą rzeczą, aby chłopiec, który przez 10 lat przywykł wszystkich wiadomości nabywać z niemieckich książek, po niemiecku rozumować, kombinować i dowodzić, jeszcze cokolwiek poprawnie po polsku się wyrażał, zwłaszcza, gdy o jakąś naukową rozprawę chodzi. Ztąd płynie właściwa Poznańczykom trudna wymowa, ciężki i niejasny styl, długie i zawiłe okresy, usterki, które niezmiernie rażą Polaków z innych dzielnic i wywołują w nich przekonanie, że tej germanizacji języka odpowiada również zgermanizowanie uczuć i myśli.

Pod tym względem niebezpieczeństwo w szkołach rosyjskich jest mniejsze. Prawda, że za kordonem również wkradają się często rusycyzmy do polskiej mowy, ponieważ jednak chodzi tam o dwa bądź co bądź pokrewne słowiańskie języki, więc, pominąwszy pojedyńcze wyrażenia, polszczyzna zakordonowa mogła zachować w ogólności właściwy sobie charakter. Wreszcie Polacy tamtejsi po ukończeniu szkół i uniwersytetów nie wiele mają powodów do posługiwania się rosyjskim językiem. Literatura naukowa w Rosji nie jest zbyt bogatą, to też, chcąc dalej pracować w swym zawodzie, częściej do zagranicznych książek, niż do miejscowych zaglądać są zmuszeni. Inaczej dzieje się pod zaborem pruskim. Inżynier, doktor, przyrodnik, odebrawszy wykształcenie w niemieckich uniwersytetach — chcąc się dalej kształcić, znowu z niemieckich źródeł czerpać musi wiadomości, gdyż nasza literatura naukowa jest niesłychanie uboga, a Niemcy w każdym kierunku wiele znakomitych dzieł posiadają.

Prowadząc dalej porównanie systemu szkolnego po tej i tamtej stronie kordonu dodać musimy, iż pod rządem pruskim, jak wspomnieliśmy, każde prawo przedstawia się jako niezłomna, żelazna konieczność, każde musi być ścisle wykonanem, nie można go ani obejść, ani przeskoczyć. »Instytucja« łapówek, otwierająca pod rządem rosyjskim tak rozległe pole działanie każdemu osobnikowi, zaopatrzonemu w dostateczną ilość tęczowych obrazków, jest tam zupełnie nieznaną; nawet niższych urzędników niemieckich nie można witać ani żegnać szeleszczącym uściskiem dłoni, jak w Warszawie naprzykład, co więcej, uciekanie się do podobnych środków prowadzić może do tego, że osoba, doznająca podobnego objawu uprzejmości, wytoczy swojemu interesantowi proces o przekupstwo. Nie praktykuje się również pozostawiania pieniędzy przez pomyłkę w biurze między papierami, nie gubi ich się na komorze w kuferkach, które urzędnik celny przegląda — słowem, wszystkie te środeczki tak skuteczne po tamtej stronie granicy, tu zupełnie nie mają zastosowania. Naturalnie nie ma co mówić o profesorach, dyrektorach gimnazjum i inspektorach szkolnych. Nie zdarzyło się jeszcze, aby Niemiec, na tem stanowisko będący, przyjmował, zamiast powinszowań noworocznych, pieniądze od rodziców swych uczniów, co, jak wiadomo, jest zwyczajem, dość rozpowszechnionym pod rządami cara Aleksandra.

Pomimo wszystkich tych utrudnień, mimo bezwzględności praw pruskich, sprawiedliwość wyznać nam każe, iż szkoły niemieckie, choć ideałem bynajmniej nie są, o całe niebo wyżej stoją od rosyjskich. Olbrzymia ta różnica całkowicie prawie polega na tym drobnym fakcie, że profesorami i dyrektorami są w nich ludzie, nauce oddani, pedagogowie z zawodu i z powołania, podczas gdy w zakładach naukowych Królestwa przewodnikami młodzieży bywają felczerzy, baletnicy lub eks-kucharze z książęcych domów, zaś inspektorami i kuratorami naukowych okręgów — dymisjonowani wojskowi. Naturalnie w całym systemie nauczania, w kierownictwie szkół objawia się to widocznie. Niemiecki pedagog, któremu polecono w gimnazjum wykładać matematykę naprzykład, powie sobie raz na zawsze: »*Ich bin ja dazu*« i zajmuje się wyłącznie matematyką i postępami swych uczniów, a wszelką polityczną działalność Bismarka, Capriviego, walki parlamentarne wyrzuca za nawias. Z małymi wyjątkami nie ma wtedy dla niego Polaków i Niemców, są tylko dobre i złe zadania. Wprawdzie czasem nauczyciel historji w dobrej wierze zresztą sfałszuje trochę na korzyść swych niemieckich tradycji, czasem znów zaanektuje sobie z własnego popędu kilku polskich uczonych — płynie to jednak nie z chęci drażnienia uczniów, lecz poprostu z narodowego zaborczego instynktu.

O prześladowaniach na sposób rosyjski mówić nie można. Wymagania co do niemieckiego języka są stale wygórowane, po za tem uczniowie obu narodowości bywają zupełnie na równi sprawiedliwie, nawet po przyjacielsku traktowani. Ogólnie mówiąc, przyznać nawet trzeba profesorom niemieckim tyle taktu, że unikają wszelkiego drażnienia uczuć narodowych Polaków. Uczniowie polscy obowiązkowo w dzień imienin cesarza obecni być muszą w sali podczas przemówienia dyrektora i modlitwy za monarchę, w niektórych szkołach jednak zwyczaj pozwala im nie wstawać podczas uroczystego »*lebe hoch*«, w innych wstają, lecz nie potrzebują ani modlitwy, ani wykrzykników powtarzać, słowem nie ma na tym punkcie żadnej kontroli i prócz obecności nikt od nich niczego nie wymaga. Wydarzają się jednak z rzadka fakty wyjątkowe. Przed kilku laty w Poznaniu podczas majówki szkolnej kazano nieść sztandar pruski uczniowi polskiemu. Chłopak się pogniewał, sztandar podarł, rzucił i nogami podeptał. Wydalono go z gimnazjum. Nie można bez wzruszenia myśleć o takim czynie dziecka, ale trudno się dziwić, że czyn jego z niemieckiego punktu widzenia zasługiwał na karę; co jednak zwraca głównie uwagę w tem zdarzeniu, to nietakt i niedelikatność profesora, który polskiemu dziecku taką misję powierzał. Dowodzi to przedewszystkiem braku doświadczenia i nieznajomości miejscowych stosunków, gdyż każdy z zasiedziałych w Poznaniu pedagogów byłby z góry przewidział, że sprawa ta skończyć się musi takiem wymownem sponiewieraniem cesarskiego znaku. Wypadek ten przytaczamy bynajmniej nie w tej myśli, aby on miał stosunki szkolne charakteryzować. Przeciwnie, tego rodzaju ostrych starć unikają starannie kierownicy szkół, a patrjotyczne uczucia naszych dzieci, o ile nie wybuchają w sposób wojowniczy, pomijane, ignorowane, a wreszcie i tolerowane bywają. Zdarzało się naprzykład, iż na majówkach wspól-

nych, gdy Niemcy już wszystkie swoje pieśni wyśpiewali, profesorowie prosili Polaków, aby i oni swoje narodowe zanucili hymny. Uczniowie polscy zawodzili chórem: »Boże coś Polskę» lub z »Dymem pożarów», a Niemcy z satysfakcją przysłuchiwali się i podziwiali »*die s höne Melodie*«. Jestto naturalnie drobiazg, który nam nic nie pomaga, a nieprzyjaciołom naszym nic nie szkodzi, jeśli jednak rozważymy, że w Warszawie uczeń, któryby miał u siebie patrjotyczne wiersze, zostałby conajmniej ze szkół wydalonym, to przyznamy, że różnica stosunków jest ogromna.

Młodzież polska z pod pruskiego zaboru niejednokrotnie usiłowała przeciwdziałać zgubnym wpływom swej wyłącznie cudzoziemskiej edukacji. W gimnazjach i uniwersytetach tworzyły się kółka polskie, których głównem zadaniem było studjowanie literatury i historji ojczystej. Za czasów Bismarka w chwili jego najwyższego rozjątrzenia przeciw Polakom, wyszło rozporządzenie, zabraniające stanowczo tego rodzaju związków. Było ono tembardziej oburzającem, że stowarzyszenia niemieckie, mające wyłącznie wzniosły cel wypijania jak największych ilości piwa przy akompanjamencie najgłupszych piosenek, równocześnie nietylko swobodą ale specjalną protekcją ks. kanclerza się cieszyły. Dziś rozporządzenie to niecofnięte »de jure», »de facto» jednak wykonywanem nie bywa i znów tu i owdzie kółka takie powstają.

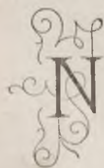
Po ostatniem głosowaniu posłów naszych w parlamencie spodziewano się, że rząd przez wdzięczność za wspaniałą ofiarę krwi i złota na ołtarzu interesów państwowych złożoną, odwzajemni się znacznemi ulgami dla dzieci naszych, niemiłosiernie niemczyzną dręczonych. Nadzieja ta zresztą nie była opartą na żadnej umowie, na żadnem zastrzeżeniu, płynęła sobie ot, wprost z dobrodusznej natury polskiej, gdyż wiadomo, że, o ile Moskal zawsze się czegoś lęka, Polak zawsze się czegoś spodziewa. Nieuchronne rozczarowanie było jej skutkiem, a Bóg wie, czy nas od dalszych złudzeń ustrzeże. *Izydor.*



MŁODE SIŁY.

Wacław Sirko: »Na kresach lasów«. Opowiadania. Petersburg 1894.

(Dokończenie).



Nie odbiegłem od ostatniej pracy Sirki, mówiąc o »Chajłaku«. Ta sama potężna plastyka, męska jakaś siła objęcia obrazu w połączeniu z nadzwyczajną zdolnością odczucia psychiki tak obcej dla nas, jak psychika dzikiego Jakuta — panuje i w opowiadaniu »Na kresach lasów«. Tylko, że kiedy w »Chajłaku« widzieliśmy jeden tragiczny moment tego obcego dla nas życia, to w ostatniej powieści patrzymy na całkowity jego obraz. Teraz mamy przed sobą doroczne dzieje jednej takiej na pół dzikiej osady — mamy jej pełny dzień od rana do nocy i wszystkie pory roku w bajecznej panoramie epickiej przesuwające się przed nami.

Więc mamy wioskę i jej bierną ludność, mamy zbrodniarzy i bohaterów tej ludności, jej smutki i uroczystości. Jakuci, Tunguzi i »uruscy« tworzą tu jedną organiczną całość życiowego interesu, którą polityczny wygnaniec Paweł nie obserwuje, ale wespół z nimi przeżywa. Z czego się także życie składać może? Czy istnienie pierwotnego plemienia może dać dostateczny materjał powieściowy? Czy to życie ubogie, niemal jaskiniowe może nas interesować?

* * *

W małej jurcie jakuckiej, przysypanej zaspami śnieżnemi, odbywał się dziwny ruch. Dwie stare baby i stary Tunguz z kąta w kąt chodzili razem, badawczo szperając w każdej szczelinie, rozwijając każdą szmatę.

— No jest? — pytała jedna z kobiet.

— Nic niema.

— Zupełnie nic?

— Zupełnie...

Zupełnie nic nie mogli znaleść do zjedzenia... Głód kurczył już im żołądki i zęby szczękać poczynały z zimna, które ich teraz boleśnie przejmowało. W poszukiwaniach takich i w obmyślaniu sposobów zdobycia jadła upływał krótki dzień zimowy... I to nie w jednej chacie jakuckiej tak się działo: całe plemię cierpiało tę nędzę, a cierpiało ją nie wyjątkowo w tym roku, lecz stale pod koniec pory zimowej, w straszny przednówek bezradnych i półdzikich ludzi.

I mówi wówczas stary Jakut na pół odchodząc od przytomności...

»Właśnie obozowałem w pobliżu traktu. Kto chciał przychodził i stawał się gościem. Zaledwie siądzie, natychmiast weselny rozdzielacz niesie mu i kładzie na kupę: kawał schabu, obrosłego żółtym tłuszczem, jak kamień jagielem, ozór świeżutki, wątroby, serca, chrapów renowych po kawale, grubą, niby miętus, kiełbasę, nalaną kopconą w dymie krwią i zmieszaną z kulkami wpółstrawionego reniego kału. Wreszcie stawiają misę, pełną polewki z krwi, zaprawionej mąką — o, były czasy!«.

Wszystko w jurcie jakuckiej przesiąka tym zapachem krwi dymiącej się — cały zasób myśli tych ludzi obraca się około jednego przedmiotu — jadła. Robienie zapasów na zimę, rybołówstwo i polowanie — to główne ich zajęcie, oprawianie zabitych zwierząt — wielkie święto, masy jadła i statków do jadła — jedyne bogactwo.

Na tle tem wyrasta nawet jakucka socjologja:

— Ruski mało je — mało robi; Jakut dużo je — dużo robi; Jakut bohater!

Istotnie — bohaterstwo i szlachetne, idealne porywy w tym kraju z zapachem zgniłej ryby i krwi reniej — obracają się również około jadła. Oto młody chłopak, Jakut Ujbańczyk staje się przyjacielem wygnańca Pawła. Paweł w gawędach z Ujbańczykiem stara się być mu jaknajbardziej pożytecznym i opowiada mu różne rzeczy, co się z czego robi, jak ludzie dochodzili do różnych wynalazków. Ujbańczyk chciwie słucha i pod niskiem czołem rodzą się jakieś błyski natchnienia, jakaś pierwotna, jaką znał jaskiniowiec, krytyka własnych stosunków i myśl o ich naprawie. Ujbańczyk sądzi, że w książkach Pawła »jest wszystko od początku do końca« i najgłębiej się zastanawia nad tem, jak to inaczej żyć mogą inni ludzie, o ile są mądrzejsi od Jakuta — a wszystko dlatego, że chleb mają. I oto błyski natchnienia zlewają się w jedno, uporczywie trzymające się głowy Ujbańczyka olśnienie, że trzeba Jakutom zboże uprawiać, żeby Jakuci dobrze żyć mogli. Ujbańczyk, w tajemnicy przed osadą, któraby go wyśmiała, początkowo nawet w tajemnicy przed Pawłem, zasiewa jęczmień... Jakże dziwnie wyglądał kędzierzawy zagon jęczmienia schowany w dzikiem ustroniu tajgi i Ujbańczyk-wynalazca, patrzący na to czarodziejskie zboże »uruskich«, ludzi wyższych, rosnące oto na jego ziemi! Na jesieni jednak stały kłosy jęczmienne, puste i zczerniałe, opuściwszy na dół zwarzone łodygi — stały bez ruchu, upokorzone w chłodnem, zwycięzkiem powietrzu...

I znowu myśl uporczywa prześladuje Ujbańczyka — myśl-troska.

— Ty Ujbańczyk zbyt łatwo się zniechęcasz — pociesza go Paweł.

— Eh! — odpowiada chłopak — już ja o tem myślałem... Co tam jęczmień; ale widzi pan, każdemu coś przeznaczono — a my Jakuci...

— Cóż, że Jakuci? z czasem wszystko odmienić się może...

— Wtedy nas nie będzie, cóż nam z tego? Nie, już my Jakuci...

Ktoś, kto czytać umie, z tych niewielu słów streszczenia wyczyta całą tragedję i odczuje nudę i troskę Ujbańczyka-wynalazcy. Może też zarazem odpowie sobie na postawione wyżej pytanie, czy to biedne, dzikie życie może dać materjał do powieści i zająć nas?

Wzięliśmy z powieści jeden tylko motyw i ten motyw w rozwinięciu doprowadza nas wprost do epickiego momentu — momentu wielkich ideałów, klujących się w człowieku pierwotnym. Proszę teraz wystawić sobie całą tą hordę wpółdziką w stosunku do skazańca, w stosunku między sobą, w stosunku do przedziwnej przyrody podbiegunowej — a wszystko to odtworzone szerokim, o epickim rozmachu, pędzlem artysty. Proszę wystawić sobie, jak wielkie elementarne siły — głód, miłość i mór — grają na tych prostych sercach, budząc wszystkie ludzkie namiętności i tworząc w ten sposób nieprzerwane pasmo życia — to będzie właśnie treść powieści Sirki. I, niech mi wolno będzie bez chęci porównania napomknąć, to było również treścią wielkich, pierwotnych utworów epickich całej ludzkości — od starej Grecji, do naszych bajd ludowych.

* * *

Co przedewszystkiem w Sirce uderza, to właśnie owa drugoplanowość własnego nastroju w powieści. Skazaniec Paweł przesuwa się ciągle wśród ciżby Jakutów — czasem nawet słyszymy płacz jego i widzimy zrozpaczenie, ale jednak nie to nadaje utworowi charakter. Powtarzam — jest jakaś męzkość i siła, jest wielka żywotność w tym fakcie, że cierpiący Paweł nie kwili nad sobą, lecz odtwarza przed nami świat obcy. Był czas, że po całunach tundry syberyjskiej błąkał się rozżalony duch Słowackiego — z Anhelim po raz pierwszy poznawaliśmy te dzikie hordy i ich łagodne reny. Ale później przez długie czasy okrucieństwa Moskali i cierpienia skazańców na wygnaniu stanowiły wyłączny motyw literatury o Syberji. Tymczasem jednak działy się tam rzeczy nowe. Setki znanych i nieznanych ludzi wkładało dużo energji i życia w stosunki miejscowe — jak Paweł Sirki. Trwożliwi nawet oswajali się z Syberją i poznawali, że jednak nie samym tylko jękiem żyć tu wypada. I oto ujrzano wkrótce, jak ci, co na zagładę sami byli skazani — ratowali innych i już wrzekomo wyrzutki społeczeństwa — społeczeństwu temu nawet z tego grobu słali dary, wzbogacając skarbnicę jego myśli i doświadczenia. Zjawisko to w literaturze rosyjskiej wywołało cały szereg utworów wielkiej wartości, między któremi najświetniejsze stanowisko zdobyły powieści Korolenki. U nas wywołało »Szkice« Szymańskiego i dziś nowy, cenny wkład — powieści Sirki.

Co to znaczy?

To znaczy, że już nawet tam »na krańcach lasów« rozpocz się bój, który zagrzewa i podtrzymuje na duchu tych najnieszczęśliwszych z pośród nas. To znaczy, że siły młode, siły żywotne społeczeństwa mają w sobie niespożytą moc, która się nie zatraca, lecz zewsząd spływa odżywczymi sokami, rzeźwiąc walczących. Zresztą na miejsce pośpiesznych, jakby się zdawać mogło, uogólnień, głos dajmy artyście: niech sam przemówi o tem, czego jest wyrazem:

. . . »Dziwny widok przedstawia las podbiegunowy; cmentarz to raczej, gdyż zaprawdę więcej tu leży pni zwalonych, niż żywych korony wznosi ku niebu. A i te ostatnie stoją nizkie, cherlawe, na wpół uschłe, skrzypiąc żałośnie w pałąk zgiętymi szkieletami i zdając się żebrać o zgon rychły. Na ziemi leżą kłody —

tu stare, zmurszałe, zgnilizną tchnące, owdzie świeże jeszcze, sączące z ran swych żywicę — leżą, rozpostarłszy szeroko gałęzie, potraciwszy w upadku kruche wierzchołki, pojedyńczo lub kupami, gwałtownie z ziemi wyrwane... Korzenie ich sterczą do góry, niby kowulsyjnem konaniem wykręcone stopy nieboszczyków.

Tak — to pobojowisko! Tu się toczy walka zajadła, nieubłagana, między wichrami, jałowością gleby a lasem. Poległo już wielu bojowników, ale bój nie skończył się jeszcze, o czem świadczą wymownie owe młode latorośla, świeżo wyrastające między chrustami. Chciwe słońca i powietrza, a pewne praw swoich, szeroko rozstawiają kosmate swe łapki, wyścibiając mchowato-aromatyczne, kędzierzawe czubki gałązek iglastych po nad ciałami zabitych i w cieniu umierających. Przyjdzie czas, że i one zginą gwałtowną śmiercią, ale nie zginą napróżno...

Od północy przez nagie tundry dmą wichry niczem nie hamowane w szalonym swym biegu i uderzają gwałtownie o młode bory. Gleba jałowa odmawia im pożywienia. Rosną więc prawie na powierzchni, pełzając, poczwarnie pogięte, niby gniazdo ukropem polanych węży, a pozbawione dostatecznego pokarmu i oparcia, wątłe i chwiejne, padają za pierwszem uderzeniem silnego wichru.

Może kiedyś, gdy rozkład i próchno umarłych wzbogaci soki ziemi, wyrosną nowe pokolenia, liczne, silne i zdrowe, które wspólnemi siłami odmienią klimat, wchłoną wilgoć, wstrzymają wichry, ulepszą i rozgrzeją glebę. A wówczas tam, gdzie niegdyś padli pierwsi bojownicy, pokorni i beznadziejni, zaszumi bór potężny i zielony, mogący oprzeć się wszelkiej wichurze...«

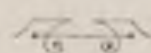
Ten obraz walki żywiołów w podbiegunowej tajdze nie jest-że artystyczną filozofją młodych sił naszych, zdobywających sobie placówki na całej linji walki z wrogami?

Antoni Połocki.



Samo oszukaństwo.

Z monologów Klemensa Junoszy.



(Dokończenie).

Myślę sobie; mam żonę, to przynajmniej wiem, że mam, — taki smak już nie spadnie z hypoteki. Ale co pan powiesz?! i w tem było oszukaństwo! Myślisz pan, że ja żonę miałem? Nie panie, ja hrabinę miałem, ona była wspaniała dama, tłusta dama, a to najpaskudniejszy feler jest! Nie wierzysz pan? Cha! cha? proszę-no posłuchać, co ona potrzebowała na swoją osobę przez jeden dzień! Posłuchaj pan! pan nie będziesz mógł dać wiary, ale ja panu powiadam, na moje sumienie, ja, Immerszlecht! Nie tamten drugi Immerszlecht, gałgan, ale ja, W. Immerszlecht; słuchaj pan. Zaraz jak ona tylko z łóżka wstała, to potrzebowała pić herbatę. Ile pan myślisz herbaty? jedną szklankę? trzy szklanki! Myślisz pan, że bez cukru? z cukrem! Potem ona potrzebowała się wystroić, i dopiero, takie szajne dame, potrzebowała iść do ogrodu. Myślisz pan, po co ona tam chodziła? Chodziła tam pić kawę! Myślisz pan, jednę szklankę? Nieprawda, dwie szklanki! Myślisz pan, bez ciastka? z dwoma ciastkami! Potem ona przychodziła do domu, na obiad. Jak się panu zdaje, co ona potrzebowała na obiad? Może dzwonko śledź, cztery kartofle, trochę krupnik, jak zwyczajnie potrzebuje być dobry obiad? Nie, ona potrzebowała cały talerz rosół, funt mięsa, albo ćwiartkę gęsiny, albo pół kury, do tego kartofel z gęsim smalcem, do tego bułkę albo chleb, a do chleba znowu trochę smalec, — ja sam już nie wiem, co ona potrzebowała! Potem to ona lubiła zaraz sobie trochę położyć. Ona potrzebowała odpocząć po takiem jedzeniu! A co pan myślisz, co ona potem robiła? Ona potrzebowała sobie wystroić i znowuż, a szajne dame, iść do ogrodu. A po co ona tam szła? na spacer? Nie, na kwaśne mleko! Myślisz pan, że zjadła pół porcji? Przepraszam, ona potrzebowała całą porcję! No później jak przyszła do domu, to zaraz kazała nastawić samowar i piła herbatę. Myślisz pan, że jednę szklankę? Trzy szklanki! Myślisz pan, że bez cukru? Z cukrem! Taki miała feler. Ja widziałam, że to nie żona jest tylko hrabina, tak chciałem jej dać rozwód. Nie mogłem już wytrzymać z takiem jedzeniem. Dziwowałem się, że ona jeszcze mnie samego nie zjadła. Chciałem dać rozwód, tymczasem przychodzili moje przyjaciele, perswadowali, prosili i przedstawiali, że oni chcą między nami zrobić zgodę. Ja powiadam: dobrze, zróbcie zgodę, niech ja wiem, ile ja mam dać na tydzień na jedzenie, ja tyle dam; a jak ona zechce więcej jeść, niech je za swoje pieniądze. Ja nie będę bronił, niech pije po trzy szklanki kawy, niech się obucha, tylko, żebym ja nie potrzebował do tego interesu dokładać. Przyjaciele zrobili między nami zgodę. Było dość hałasu, klektania, tak i tak, nareszcie stała się zgoda. Ja miałem zapłacić komorne, drzewo, węgiel, naftę, herbatę, pensję służącej, nosiwodę i miałem dać jedenaście ruble tygodniowo na życie. No, zrobiła się zgoda, byłem spokojny. Dałem swoje jedenaście rubli za cały tydzień z góry i poszedłem za swemi interesami. Nawet mi w głowie nie było, żeby i tu także się zrobiło oszukaństwo! Samo oszukaństwo! paskudne oszukaństwo, na moje sumienie! Pytasz się pan, w czem oszukaństwo? Zaraz panu powiem. Ja poszedłem na miasto, nachodziłem się po różnych dziurach, po schodach; w jednem miejscu nie zastałem osoby, w dziesięciu drugich miejscach nie zasta-

łem pieniędzy, jak wiadomo w naszym interesie bankierskim. Przyszedłem do domu koło godziny piątej, byłem bardzo zmordowany, spracowałem się jak koń, a trzeba panu wiedzieć, że moja żona była bardzo grzeczna, bardzo delikatna kobieta, zupełnie jak jaka hrabina (ha! jadła dużo i bardzo grzeczna była); jak tylko ja przyszedłem do domu, ona przysyła do mnie służącę. Ja sobie siadłem przy stoliku, a służąca pyta się: proszę pana, pani kazała zapytać, co sobie pan życzy teraz jeść? Ja na to powiadam: moja kochaneczko, podziękuj pani za delikatność; powiedz, że ja mam chęć do trochę wódeczki, trochę chleb, kawałek prosty ser i szklaneczkę piwo. Co człowiek więcej potrzebuje? Ona poszła, ale zaraz przychodzi. Ja się pytam: co ty, moja kochaneczko, chcesz? A ona powiada: że pani kazała powiedzieć, że jeżeli pan chce jeść trochę wódeczki, trochę chleb trochę ser i trochę piwo, to niech pan będzie łaskaw dać: osiem groszy na wódeczkę, sześć na chleb, trzy na ser i dwanaście na piwo! Zrywałem się z krzesła, krzyczałem »gwałt« na całą ulicę! Słuchaj pan, ja dopiero dałem jedenaście rubli na życie, na cały tydzień z góry, ja przyszedłem do domu, żeby sobie trochę odpocząć i trochę siły dostać, a ona powiada, żebym ja dał osiem groszy na wódkę, sześć na chleb, trzy na ser, dwanaście na piwo. (I to oszukaństwo, bo u Lejzora najlepsze piwo jest po dziewięć). Ja to nie mogłem wytrzymać, ja zrobiłem mojej żonie skandalje. Myślisz pan, małe skandalje? ja jej powiedziałem: niech ciebie djabli wezmą! Ja panu mówiłem, że ona była wielka dama, — ona nie robiła żadne awanture, tylko spojrzała na mnie bardzo po pańsku i powiedziała jedno słowo: „idź sobie do cholerje". Cała hrabina, na moje sumienie! No, ale że ja nie jestem, Bogu dzięki, hrabia, tylko prosty żyd, to nie mogłem na to przystać, żebym miał dawać jedenaście rubli tygodniowo, a prócz tego kupować sobie jeszcze: wódkę, chleb, ser i piwo — dałem jej rozwód. Powiadasz pan, że już byłem spokojny? Nieprawda. Naprzód, że mnie — a już dzięki Bogu, lata mam — nie pasowało żyć lada po jakiemu, bez żony, a po drugie... Pytasz się pan, co po drugie? Po drugie, to, proszę pana, źle jest, — po jednym deszczu przychodzi drugi deszcz, po jednej żonie — druga żona, mało kiedy pogoda jest, mało kiedy spokój jest. Musiałem znowu wołać swata (żeby jemu kolka w bok wlazła, gałganowi), musiałem jemu kazać, żeby się starał o żonę. Kazałem jemu, żeby znalazł porządną kobietę, wdowę, żeby była piękna, ale żeby też nie była młoda, bo na co mnie młoda żona? na co małe dzieci? Ja już Bogu dzięki, wnuczków mam (niech oni zdrowe żyją). Ja kazałem jemu, żeby mi szukał taką żonę, co nie ma bardzo wielki apetyt, i taką żonę, co nie ma sumy hypotecznej, tylko gotówkę. Ja jemu powiedziałem, że ja się nie lubię targować, że będę wolał wziąść mniej, aby tylko było pewne, abym nie był stratny. On powiedział, że znajdzie (żeby on śmierć sobie znalazł!) Co pan chcesz, taki gałgan, to zaraz szuka, on z tego żyje, paskudnik. Na drugi dzień to już mi pokazał całe trzy! Mogłem sobie wybierać. Myślisz pan, że nie wybrałem? Wybrałem. Była kobieta bardzo ładna, wdowa, miała już po czterdzieści i dziewięć lat, i z dobrej familji, i bez sumy hypotecznej, z garderobą, z gotówką, z perłami i miała też dwa brylantowe kolczyków. Wszystko miała! Pytasz pan, dlaczego się nie ożeniłem? Dlatego, że ja jestem człowiek uczciwy, że nie lubię zrobić oszukaństwo! Wiadomo, jaki jest uczciwy Immerszlecht; pytaj pan na całe Nalewki. (Tylko pytaj pan wyraźnie o W. Immerszlecht, bo są i drugie Immerszlechty, ale wielkie łapserdaki i gałgany!). Ja jestem człowiek uczciwy, ja się nie mogłem ożenić z tą kobietą. A wiesz pan dobrodziej, dlaczego? Dlatego, że między nami była dyferencja. Ona była bardzo nabożna żydówka, ona żądała, żebym ja sobie ubierał po żydowsku, żebym ja nosił wielkich butów, szerokie majtków, »tałes-koten mit kofuł szmejne cycys«, wiesz pan, takie długi sznurki do same kolano! długą kapotę i husycką czapkę na głowę! Ja nie mogłem na to przystać. Powiedz pan sam, czy ja mogłem, powiedz pan, coby moi panowie na to powiedzieli, i jakbym ja wyglądał w taki paskudny garnitur, ja, W. Immerszlecht, co mu znają na całe Nalewki, nawet na całe Warszawe! Ja jestem z innego świata, z nad samej pruskiej granicy, w mojem rodzonem miasteczku ludzie chodzą jak lalki, najbiedniejszy szewc ubiera sobie jak hrabia, a ona chce, żebym ja nosił prostą kapotę! Sam pan powiedz, czy to pasuje — Immerszlecht i kapota, Immerszlecht i chałat, Immerszlecht i paskudne wielkie butów, co człowiek potrzebuje mieć bydlęcą nogę, żeby ich dźwigać na sobie! Ja jestem człowiek delikatny, ja to nie potrzebuję nosić. Ja panu co powiem: ja miałem i na to sposób. Miałem dobry sposób. Mój spólnik, co ze mną interesów robi, powiedział do mnie tak: słuchaj-no Immerschlecht, ty nie bądź głupi (w spółce to zwyczajnie musi być trochę konfidencji), ty Immerszlecht nie bądź głupi! Ty sobie z nią ożeń. Ja tobie dam sposób: ty sobie kup na wesele kapotę, butów i czapkę, a po weselu ty włóż swoje dawne garderobę, a tę kapotę, butów i czapkę ja od ciebie kupię, bo ja chodzę w staromodne garderobę, ty mnie odstąpisz 25%. Ja nie chciałem na to przystawać. Po pierwszego, że ja nie lubię robić komu oszukaństwo, bo u mnie uczciwość najpierwsza jest, a po drugiego, za co ja mam stracić dwadzieścia pięć procent?! Powiedz pan sam! Ta kobieta pojechała do rabina, żeby on sądził, w jakie odzienie mnie pasuje chodzić, ale ja już nie czekałem wyroku i powiedziałem, że się wyrzekam wszystkiego. Dlaczego ja to zrobiłem? Dla bardzo prostego interesu. Jakby rabin kazał nosić kapotę, to rabina wypada słuchać, a znowuż mnie wypada chodzić w porządne świa-

towe garderobe. Więc ja wolałem nie robić próbę, a nie chodzić jak prosty chałaciarz, i nie stracić 25% i zostać taki sam Immerszlecht, jak byłem pierwej. Ja panu co powiem, ja mam obrzydliwość do każde oszukaństwo, ja nie lubię żadne oszukaństwo, to paskudna rzecz jest! Żebyś pan dobrodziej handlował tak jak ja, z pieniądzmi, to myślałbyś pan całkiem tak samo. Niema gorszy interes na świecie, jak każde oszukaństwo jest. Na moje sumienie. Och! ja zapalę moje cygaro, albo lepiej daj mnie pan swoje cygaro, bo ja mam takie paskudne szczypienie w gardle. Zawsze mi się to trafia, zawsze mi się to przytrafuje, jak wspominam o moich żonach. Co robić — jeden ma szczęście do kobiet, drugi nie ma szczęścia do kobiet; ja nie mogę sobie pochwalić, żebym miał wielkie szczęście do kobiet. Ten swat (niech on dostanie kolkę na wątrobę!), ten swat mnie ożenił, ale i to było także oszukaństwo! Pytasz pan, czy dostałem znowu złą żonę? Ja to nie powiem. Ona (niech zdrowa żyje) nie jest ani zła, ani bardzo dobra; ani bardzo ładna, ani bardzo brzydka; ani młoda nie jest, ani stara nie jest. Nie jada dużo, ale mało też nie jada; nie miała sumy hypotecznej, ale też nie miała dużo gotówki. Całe parade paręset rubli, nawet cały tysiąc nie było. Nie mogę powiedzieć, żeby była wielka złośnica, ale kawałek złota też ona nie jest. Zwyczajna żona, kawałek żydówki, jak się najczęściej przytrafuje pomiędzy nami. Pan dobrodziej powiadasz, że nie możesz sobie miarkować, w czem jest oszukaństwo? Powiadasz pan, że żona jest żona. I to prawda, że żona nie jest ciotka, tylko żona. Ja wiem, ale uważaj pan na delikatny rozum. Ja już nie jestem młodzik, pan to zapewne rozumie. Jak kto ma osiemnaście lat i żeni się to potrzebuje prosić Pana Boga o małe dzieci; a jak kto ma pięćdziesiąt kilka lat i żeni się, to potrzebuje trochę spokój i trochę wygody. U nas, u żydów, to zawsze proszą Pana Boga o dzieci, ale ja jestem z pod pruskiej granicy, u nas ludzie nie są takie zabobonniki, jak tu w Warszawie. Do każdego interesu trzeba termin, a wiadomo że po termin nie może być apelacja. Ja mówiłem temu swatowi (niech jemu głowa spuchnie!), ja mówiłem, żeby on o tem pamiętał. On pamiętał on mi powiedział, żebym był całkiem spokojny, on ręczył! Co pan powiesz, on mi na piśmie chciał poręczenie dawać! (żeby jemu kości pokręciło!). Pan sobie dziwuje, że ja wierzyłem. Dlaczego ja nie miałem wierzyć? on jest swat, od czego on jest swat? to do jego fachu należy! Tymczasem cały ten fach, to jedno oszukaństwo! Bądź pan dobrodziej zdrów. Ja już nie mam czasu, ja potrzebuję sobie iść między moje dłużniki, potrzebuję zbierać obiecanki. To także jest fach! Żeby moje wrogi takie żniwo mieli! Pan dobrodziej pytasz się o koniec? Na co panu to wiedzieć? Zresztą, niema w tem sekret. Chcesz pan wiedzieć, to ja panu powiem. Ja teraz jestem młody ojciec. Pan się śmieje. Na co pan się smieje? To niema śmiechu, to prawda jest, prawda, co na świecie same oszukaństwo. Co robić? trzeba przyjąć, co Pan Bóg daje. A czy pan wie, co Pan Bóg dał? Pan myśli, że może syn? wcale nie syn. Pan myśli, że może dziewczynka? wcale nie dziewczynka. Teraz pan sam nie wie, co myśleć? Ja panu powiem — mam od razu dwa syny! Całe oszukaństwo, na moje sumienie!



Przegląd pism.

»Ateneum«. Październik 1894.

P. Hösick w artykule p. t. »W Szwajcarji. Okres genewski w życiu J. Słowackiego«., wierny swemu zadaniu bjografa nieśmiertelnego Juljusza, podaje ciekawe szczegóły z żywota poety z lat 1832—1836.

Świeże dzieło F. Paulseka p. t. »Einleitung in die Philosophie«, będące zbiorem prelekcji tegoż autora w uniwersytecie berlińskim, streszcza artykuł październikowego zeszytu omawianego pisma, p. t. »Filozofja i jej kierunki«. Główne punkta, które autor porusza, dotyczą stosunku filozofji do religji, do umiejętności, podziału filozofji, jej zasadniczych problematów i t. d.

Ciekawy artykuł o »klubach londyńskich« zaznajamia nas z charakterystyczną stroną towarzyskiego życia Anglji, gdzie klub stał się już nieodłączną potrzebą wszystkich warstw ludności, nie wyłączając ludności rzemieślniczej i robotniczej.

Artykuł p. t. »Z życia prywatnego w XVI. wieku« rzuca, na podstawie rachunków Jana de Blois, należącego do kwiatu arystokracji francuskiej, światło na prywatne, domowe stosunki pewnej sfery społeczeństwa francuskiego w pierwszej połowie XVI. stulecia.

P. A. Zieliński w osobnym artykule rozbiera bilans towarzystwa asekuracyjnego życiowego »Przezorność«, założonego w Warszawie półtora roku temu, widząc w dotychczasowej działalności tej instytucji wszelkie szanse dalszego prawidłowego rozwoju.

Z innych artykułów, umieszczonych w omawianym zeszycie »Ateneum«, zaznaczyć należy ciekawą kronikę przyrodniczą, stale prowadzoną przez M. Flauma oraz obszerny artykuł W. Nałkowskiego »O nowych pracach na polu historji i geografji«.

Z beletrystyki znajdujemy obrazek Gryfa »A i Z«, z poezji przekłady utworów Arenbergh'a (Belga) przez Miriama.

p.



Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.